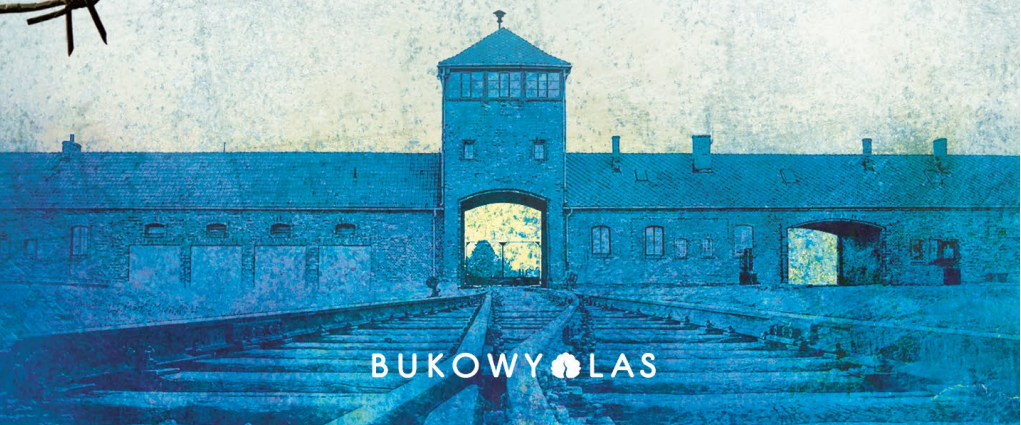


Luize Valente

SONATA Z AUSCHWITZ



Przejmujący obraz rodziny
naznaczonej piętnem
Holocaustu



BUKOWY LAS

CZĘŚĆ I

POCZĄTEK LINII

Okupowana Polska, 2 października 1944 roku

Mrok opustoszałej szosy rozpraszały jedynie krótkie światła samochodu. Friedrich omijał jedną dziurę za drugą bez zwalniania – i tak poruszał się o wiele wolniej, niż miał w zwyczaju. Był mistrzem w manewrowaniu, czy to w powietrzu, czy na ziemi. Za parę kilometrów czekało go Gorzycko, dawna granica Polski z Niemcami. Dwie trzecie trasy, jej najtrudniejszą część, miał już za sobą.

W oddali rysowała się strażnica. Wcześniej mijał już punkty kontrolne w Katowicach i pod Poznaniem. Nie musiał gasić silnika przy żadnym z nich. Wystarczyło zwolnić, opuścić szybę, uśmiechnąć się wymuszenie, za to z pewnością siebie, zasałutować i unieść z lekka kepi. Granatowy mercedes z czerwoną skórzaną tapicerką, odznaczenia na mundurze i Krzyż Żelazny na piersi jednoznacznie wskazywały, że jest ważnym oficerem. Być może z powodu młodego wieku nie wzbudziło zdziwienia, że sam prowadził samochód. A może tamci żołnierze byli po prostu zmęczeni.

Friedrichowi przeszło wcześniej przez myśl, że mógłby dostać się do Berlina pociągiem z Warszawy, ale przecież od początku sierpnia miasto przeobraziło się w pole bitwy między Niemcami a polskimi powstańcami. Agent tajnej policji informował go, że kapitulacja rebeliantów to kwestia

godzin. Warszawa pograżała się w chaosie, na ulicach miasta poniewierały się ciała zabitych. Powstanie nie udało się tylko dlatego, że stacjonujący po drugiej stronie Wisły Rosjanie nie wyruszyli powstańcom na pomoc. Niemców uratowała egoistyczna zagrywka Stalina. Tego Friedrich był pewny.

Skoro wschód Polski znalazł się obecnie w centrum uwagi, Friedrich uznał, że bezpieczniej będzie dostać się do Berlina przez Poznań. Jak dotąd decyzja wydawała się trafna. Przed każdym patrolem wznosił prawe ramię, pozdrawiał żołnierzy głośnym „*Heil Hitler!*” i przyspieszał, by kontynuować podróż. Przejechał w ten sposób przez wszystkie posterunki. Unikał dróg lokalnych ze strachu przed zasadzkami ukrywających się w lasach partyzantów. Friedrich wiozł ze sobą coś bardzo cennego, co musiał w nienaruszonym stanie dostarczyć pod wyryty w jego pamięci adres w Berlinie. Nigdy wcześniej nie przeżył tak intensywnych czterdziestu ośmiu godzin, w dodatku takich, które uzasadniały zapewne całe jego dotychczasowe życie. Nie przejmował się faktem, że wokół Niemiec zacieśnia się pierścień oblężenia Rosjan, Brytyjczyków i Amerykanów, jeszcze mniej obchodziła go jego wada wzroku spowodowana odłamkiem bomby. Dla niego wojna toczyła się o dotarcie do Berlina. I zamierzał wygrać ją za wszelką cenę.

– Już niedługo trafisz do mamusi – powiedział, oglądając się na tył auta.

Przepełnione słodyczą zdanie nie pasowało do okoliczności. Na podłodze, za fotelem pasażera, wiklinowy koszyk – taki, jakiego używało się na piknikach – zastępował kołyskę. Z mocno zaciśniętymi przy policzkach piąstkami spało w nim drobne, różowe niemowlę. Pomyślał o niespełna dwuletnim synku, którego ledwo znał. Przypomniały mu się sceny z ostatnich dni. W jakich Niemczech będzie żyć jego syn?

Gdyby tylko ich jedynym brzemieniem była klęska na wojnie... Poprzednią też przecież przegrali. Ale teraz czekała ich większa hańba – samo bycie Niemcem. Friedrich był częścią tego wszystkiego, współwinowajcą. To dziecko przeżyje, choćby miał za to zapłacić własnym życiem.

Z sekundy na sekundę coraz wyraźniej było widać stojącą przy dawnym przejściu granicznym strażnicę. Palcami wskazującymi Friedrich wystukiwał na kierownicy nerwowy rytm. Już prawie dojeżdżał. Jak dotąd nie myślał o konsekwencjach swojego czynu. Małe życie ludzkie, które spoczywało w jego rękach, pozwoliło mu zapomnieć na chwilę o tym, co widział w ostatnich dniach. Jeśli piekło istnieje, to wygląda jak tamto miejsce. Przełknął gorzką ślinę i ponownie obrócił się w stronę dziecka, które akurat zmrużyło oczka i wykrzywiło w grymasie usta. Zapowiedź płaczu. Strażnica była coraz bliżej, pozostał nieco ponad kilometr. Żołnierze z pewnością dostrzegli już światła samochodu. Nie mógł się teraz wycofać. Nawet w powietrzu, w momentach największego napięcia, tuż przed bombardowaniem nie czuł się nigdy jak teraz – nie wiedział, jak się zachować.

Gdyby zatrzymał wóz, wzbudziłby podejrzenia. Do tej pory podróż mijała spokojnie. Wcześniej niemowlę spało, ukołysane dygotaniem auta. Zwolnił, jak tylko mógł. W ciemności dostrzegał już dwie bądź trzy postacie.

– Proszę cię, nie teraz... nie płacz, proszę! – Obrócił się lekko. – Jesteśmy już tak blisko! – mówił po cichu, jakby błagał. – Jesteś głodna? Wytrzymaj jeszcze troszeczkę... – Prośby były daremne, ale Friedrich nalegał: – Musimy tylko przedostać się przez ten patrol... Tyle już wytrzymałaś...

Jak wytłumaczyć coś noworodkowi? Friedricha zaczynała ogarniać rozpacz. Wyobrażał sobie, że zwalnia, opuszcza szybkość, a wtedy krzyki dziecka wypełniają nocną ciszę

i wprowadzają w osłupienie domagających się wyjaśnień strażników. Nie był pewny, czy uda mu się zachować spokój. „*Heil Hitler!* Nazywam się kapitan Friedrich Schmidt, jadę do Berlina. To moje dziecko, jest głodne, tęskni za mamą, spieszy nam się!” Już widział reakcję strażników: „Proszę wysiąść z wozu! Dokumenty! Dzwonimy do centrali. Mamy tu podejrzanego osobnika”. To byłby koniec. Ale nie o sobie myślał. On i tak był już skończony. Przenigdy nie wróciłby do pilotowania samolotów. Każde odznaczenie, będące niegdyś powodem do dumy, teraz świadczyło o mordach, których dopuścił się w imię pychy i szaleństwa. Nadczłowiek, wybraniec! Słyszał to przez całe dwadzieścia cztery lata życia. Nigdy nie wyszedł spod klosza. Rodzina, partia, kokpit myśliwca. Po wydarzeniach z ostatnich dni nie byłby w stanie spojrzeć na siebie w lustrze i zobaczyć człowieka. Pojawiło się jednak na jego drodze to dziecko. Niemowlę – tylko ono, istota tak mała – wypełniało jego umysł, serce, każdy milimetr ciała. Nasycalo go czymś, czego nie umiał zdefiniować. Friedrich po raz pierwszy czuł miłość. Prawdziwą miłość do życia, w jej najszczerzej, boskiej postaci. To dziecko miało być jego zbawieniem, choć nawet ono nigdy nie uwolni go od spędzającej sen z powiek zgrozy, która nadchodziła, gdy tylko zamykał oczy. Miał koszmary każdej nocy, od kiedy przyjechał do tamtego siedliska zła. Teraz w samochodzie czuł się znów jak dawny, piętnastoletni Friedrich, spragniony życia, które miał wciąż przed sobą.

I nagle, jak gdyby w odpowiedzi na pilną potrzebę cudu, pojawiły się one. Jedna po drugiej. Płasały przed nim nuty. Ustawiały się harmonijnie obok siebie. Friedrich zanucił je delikatnie, a zanoszące się płaczem usta niemowlęcia równie delikatnie zaczęły się odprężyć, aż w końcu ułożyły się w naturalny uśmiech, któremu akompaniował odgłos

spokojnego oddechu. Friedrich nucił melodię cicho aż do momentu, gdy na znak dany przez wartownika zatrzymał samochód. Opuścił szybę. Pokazał dokumenty. Żołnierz zasalutował i Friedrich pojechał dalej. Nie byłby w stanie określić, ile to trwało – czy było to kilka minut, czy pół godziny. Zjechał na pobocze i przelżył kosz na przednie siedzenie. Bardzo ostrożnie wziął dziecko w ramiona. Poczł silny puls życia w swoich rękach. Tym razem to Friedrich płakał. Niemowlę otworzyło oczy, po czym zaraz je zamknęło i wtuliło się w jego pierś. On zanucił raz jeszcze dopiero co narodzoną melodię – żeby nie zapomnieć.

– *Für Haya*. To dla ciebie.

CZĘŚĆ II

FRIDA

Berlin, kwiecień 1999 roku

Dzisiaj jest szczególny dla Niemców dzień. Po kilkudziesięciu latach Berlin odzyskuje wszystkie funkcje stolicy zjednoczonych Niemiec. Również dla mnie to wyjątkowy dzień. Poznam babcię ojca – prababcię Fridę. Moja wizyta zbiega się z inauguracją oddanego na nowo do użytku gmachu Reichstagu, siedziby niemieckiego parlamentu.

Nie jest to moja pierwsza podróż do Berlina, choć takie odnoszę wrażenie. Tuż po upadku muru wraz z innymi studentami Wydziału Prawa Uniwersytetu Lizbońskiego wybraliśmy się na nieformalną wycieczkę zorganizowaną przez wykładowcę karnego – miłośnika niemieckiego systemu prawnego, na którym wzorowany jest system portugalski. Profesor zamiast „Hafner” mówił na mnie „Niemeczka”. Miałam wówczas niespełna dwadzieścia lat. Było mi zupełnie obojętne, jak się do mnie zwraca, nie przeszkadzało mi to. Nie wspomniałam jednak o tym nigdy ojcu, choćby żartem, bo o jego niemieckiej przeszłości u nas w domu po prostu się nie mówi.

Mój ojciec uważa się za stuprocentowego Portugalczyka. Kocha Portugalię mocniej, niż gdyby się w niej urodził. Przyjechał tam, gdy miał jakieś pięć lat – to po portugalsku nauczył się czytać i pisać. Mówi, że z niemieckiego nie pamięta nic. Nigdy nie chciał się go nauczyć. Moją mamę poznał

na uczelni na początku lat sześćdziesiątych. Od razu się w sobie zakochali. Ukończyli prawo, zostali aktywistami, walczyli ramię w ramię przeciw reżimowi Salazara, prześladowano ich i wreszcie udali się na uchodźstwo w Mozambiku, gdzie urodziliśmy się ja i mój brat. On w 1968 roku, ja w 1970. Dali mi na imię Amália na cześć babci od strony mamy, nie byli fanami fado. Jak na ironię, w przeciwieństwie do nich ja kocham te zawodzące gitary, których dziwnym zrzędzeniem losu nauczyłam się słuchać od babci Amálii. I to właśnie ona dała początek pasji, która towarzyszy mi aż do dziś – to z nią zaczęłam grać na fortepianie. Do Portugalii przybyliśmy na Boże Narodzenie 1974 roku, osiem miesięcy po rewolucji goździków. Mój ojciec przyjął portugalskie obywatelstwo. Chciał skorzystać z demokratycznego prawa wyborczego.

Z Gretl i Helmutem, moimi dziadkami od strony ojca, nie łączy nas nic. Zawsze tak było. My przeprowadziliśmy się do Lizbony, oni mieszkali w małym miasteczku w regionie Algarve. Jak przez mgłę pamiętam pierwszy i jedyny raz, kiedy ich widziałam, już po wyjeździe z Maputo. Przypominam sobie jakąś klótnię, ktoś walnął pięścią w stół, kiedy ja z bratem ze starej talii kart budowaliśmy drogę na dywanie w salonie... Zaraz potem przysła matka, podniosła nas na nogi i wyszeptła w pośpiechu: „Powiedźcie babci i dziadkowi pa, pa, jedziemy do domu”. Gdyby działo się to w jakimkolwiek innym czasie i miejscu, pewnie od razu wygięlibyśmy buzie w podkówki i zaczęli płakać. W tamtych okolicznościach zrozumieliśmy jednak, że dzieje się coś bardzo poważnego. Wstaliśmy i wyszliśmy. Nigdy więcej nie spotkaliśmy babci Gretl i dziadka Helmuta. I nigdy więcej o tym, co się tam wydarzyło, nie rozmawialiśmy.

Jak już mówiłam, u mnie w domu nie rozmawia się o przeszłości, o Niemczech, ani tym bardziej o Holocauście.

Nie żeby był to jakiś temat tabu. Zwyczajnie nie przychodzi on nikomu do głowy. W szkole nie było Żydów. W Portugalii też prawie ich nie ma. Kiedy druga wojna światowa weszła do programu studiów, wołałam grać na fortepianie, słuchać muzyki i organizować protesty studenckie ku uciesze ojca, który w przeciwieństwie do innych rodziców wspierał moje anarchistyczne ideały.

Na spotkanie z Fridą idę bez jego wiedzy. Za kilka dni prababcia ukończy sto lat, wiek życia w dwudziestym wieku. Rozmawialiśmy z rana przez telefon i poprosiła, żebyśmy spotkały się w renomowanym berlińskim lokalu, barze Hotelu Kempinski przy alei Kurfürstendamm (albo po prostu Ku'damm) – najbardziej ożywionej ulicy w zachodniej części miasta.

Przychodzę dwie godziny wcześniej. Tyle z pewnością mi wystarczy, żeby przejść się po szerokiej alei i poznać jej luksusowe butik, restauracje, kawiarnie. Wypatruję zmierzchu. Umówiliśmy się na siódmą trzydzieści. Po raz kolejny wspominam pierwszą podróż do Berlina z kolegami z uczelni. Tę samą aleję, Ku'damm, odwiedziłam w lipcu 1990 roku. W środku lata – nasza wycieczka była w głównej mierze dla rozrywki. Berlin stanowił stolicę muzyki elektronicznej, nocne kluby tętniły rytmem techno. Dwie strony miasta jednoczyły się po wielu dekadach podziału przez mur (i wiele innych czynników). Ale mnie to wcale nie obchodziło. Ani tym bardziej to, co wydarzyło się przed rozłamem. Miałam w głowie tylko imprezy w opuszczonych hangarach i w fabrykach przerobionych na świątynie rave'u. Na tej samej alei byłam dziewięć lat temu, tańczyłam tu z setkami osób do muzyki jadących w odkrytych pick-upach didżejów. Całe miasto się bawiło. Byłam młoda, a przeszłość nie miała znaczenia.

Po powrocie z tej wycieczki Portugalia wydała mi się zaściankowa. Chciałam zamieszkać w Niemczech, odpocząć od prawa i studiować muzykę. Niemieckie techno miało błyskotliwe odwołania do takich kompozytorów współczesnych jak na przykład Stockhausen. Było inne, wyzywające. Miałam wykształcenie muzyczne, grałam na fortepianie klasycznym. Wróciłam zdeterminowana, by uzyskać niemieckie obywatelstwo. Jeszcze przed moją zaledwie cztero-dniową podróżą do Berlina wywiązała się w domu kłótnia. Ojciec był przeciwny. Nie żebym potrzebowała jego zgody, byłam już pełnoletnia. Potrzebowałam za to jego wsparcia finansowego. Matka się za mną wstawiła, więc ostatecznie mi go udzielił. Nie podał mi wtedy żadnego konkretnego powodu swojej dezaprobaty. Mówił tylko, że to marnotrawstwo, pieniądze wyrzucone w błoto. Cztery dni w Berlinie? Z pewnością jechaliśmy włóczyć się po barach do białego rana, by potem ledwo się doczołgać na zwiedzanie miasta z wykładowcą-przewodnikiem. Wrócimy bogatsi jedynie o te nieprzespane noce. Mogliśmy równie dobrze zrobić to samo w Lizbonie, wyszłoby taniej – wytknął mi po tym, jak wypisał czek i trzasnął za sobą drzwiami biura.

Miał rację. Dokładnie tak to wszystko wyglądało. Z tą różnicą, że z przyczyn nie do końca dla mnie jasnych wróciłam z nieodpartą chęcią mieszkania w Berlinie. Ale tym się z nim nie podzieliłam. Zachowałam moje plany dla siebie. Zaczęłam uczyć się niemieckiego z takim zapałem, że rok później mówiłam już płynnie. I nigdy nie przestałam. Tymczasem jednak coraz bardziej interesowałam się prawami człowieka oraz uwidoczniającymi się po otwarciu Europy Wschodniej ruchami migracyjnymi. I tym sposobem marzenie o porzuceniu wszystkiego i oddaniu się muzyce techno stopniowo wydało mi się głupotą wszech czasów. To wirtuozeria muzyki

poważnej okazała się najbliższa memu sercu. Muszę też przyznać, że kochałam Portugalię. Podobnie jak rodzice chciałam walczyć o bardziej sprawiedliwy i egalitarny rząd.

Minęło prawie dziesięć lat. Ukończyłam studia licencjackie, opuściłam rodzinne gniazdo, zrobiłam studia magisterskie i doktorat z prawa międzynarodowego, stworzyłam organizację pozarządową pomagającą uchodźcom z afrykańskich obszarów dotkniętych konfliktem. Jestem cały czas w podróży, ale nigdy więcej nie odwiedziłam Berlina. Dwa czy trzy razy byłam w Niemczech na konferencjach, ale w innych miastach. Nadal gram na fortepianie, prawie codziennie. Muzyka wciąż jest moją wielką pasją. I pewnie tak by się toczyło moje życie: pełne pracy, którą kocham, od jednego związku do drugiego, w podróży tam i siam, gdybym pewnego marcowego popołudnia, nieco ponad miesiąc temu, nie odwiedziła bez zapowiedzi domu rodziców.

Mam swój klucz, mimo że od lat tam nie mieszkam. Jest to udogodnienie i dla nich, jako że też dużo podróżują, i dla mnie, gdy potrzebuję azylu. Tymczasem tamtego popołudnia wybrałam się do nich w poszukiwaniu książki – nie pamiętam już nawet jakiej – o którą poprosił mnie kolega. Mijała czwarta, z pewnością nie było nikogo w domu. Moi rodzice mieszkają na Campo de Santana, ich biuro znajduje się kilka przecznic dalej, na Avenida da Liberdade. Zazwyczaj jedzą obiad w domu. Cícera przychodzi trzy razy w tygodniu (kiedy jeszcze mieszkaliśmy tam z bratem, przychodziła pięć razy). Odkurza pedantycznie pokoje, miotelką do kurzu czyści meble i przeciera książki suchą szmatką. Bartô zdechl trzy lata temu, ale jego sierść nadal zdaje się zalegać tu i ówdzie. Tamtego marcowego popołudnia Cícera miała wolne.

Do mieszkania weszłam podminowana, spieszyłam się. Tchnienie ciszy mnie odprężyło. „Halo, jest tu kto?”

W odpowiedzi dostałam kolejną porcję ciszy. Skierowałam się od razu do pokoju, który wciąż należy do mnie. To duże mieszkanie z trzema pokojami i gabinetem połączonym z salonem. Pokoje oddzielone są od części wspólnej korytarzem, który zaczyna się małym przedpokojem, gdzie stoi dodatkowy telefon. Spojrzawszy na niego, przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić do ginekologa. Musiałam przełożyć wizytę o dwa dni, a tego nie zrobiłam. Kiedy podniosłam słuchawkę, usłyszałam głos ojca. Na pewno siedział w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami. To dlatego nie usłyszał, jak weszłam. Normalnym odruchem byłoby odłożenie słuchawki. Nie zrobiłam tego. Zdrętwiały mi palce, wstrzymałam oddech. Ojciec rozmawiał – płynnie i bezbłędnie – po niemiecku z jakąś kobietą. Była to babcia Gretl. Tato zwracał się do niej wyłączenie po imieniu, nie nazywał jej swoją matką.

Rozmawiali sucho i powściągliwie. Oboje robili takie przerwy, że aż musiałam zakrywać słuchawkę, żeby nie usłyszeli trzeciego oddechu. Doskonale rozumiałam niemiecki, ale treść konwersacji była dość zawiła. O co mogło im chodzić? Kim były te wszystkie osoby, o których nigdy wcześniej nie słyszałam? „Ingeborg nie żyje, wdowa po przemysłowcu, nie mieli dzieci, Frida jest sama”. Gretl udzielała informacji w homeopatycznych dawkach, bez żadnych emocji, równie apatycznemu rozmówcy. „To Ingeborg utrzymywała Fridę przez te wszystkie lata”, ciągnęła. „Teraz tylko ty zostałeś” – kolejne stwierdzenie bez odpowiedzi. W końcu jej głos niespodziewanie przybrał na sile, jak gdyby wyczerpała się jej cierpliwość. „Hermann, Frida ukończy niedługo sto lat i chce cię zobaczyć”. Tym samym opanowanym tonem, którego używał do rozmów z klientami – zupełnie odmiennym od wybuchów gniewu spowodowanych przeze mnie i brata – ojciec odpowiedział bez ogródek: „Przykro mi, Gretl, nic mnie z tymi

ludźmi nie łączy. Nie mam z tym bydłem nic wspólnego”. Wzburzona Gretl zaoponowała: „Bydłem? Nie pozwalam ci tak mówić! Frida chce cię zobaczyć! Nie możesz tego zrozumieć? My nie jesteśmy niczemu winni! Twój dziadek i twój ojciec byli oficerami! Wykonywali rozkazy! Walczyli o lepszy kraj dla takich niewdzięczników jak ty”. Po chwili milczenia ojciec odpowiedział: „Nie będę wchodzić w tę dyskusję. Powiedz Fridzie prawdę. Powiedz jej, że już nie utrzymujemy kontaktu, że wyrzekłem się rodziny, co chcesz”. Gretl spróbowała ponownie: „Zdecydowałam się na telefon do ciebie tylko dlatego, że po wielu latach Frida się ze mną skontaktowała. Miewa ostatnio koszmary o Friedrichu. Nie chce umrzeć, dopóki z tobą o nim nie porozmawia”. Dorzuciła rozjuszonym tonem: „Skoro masz się za takiego obrońcę praw człowieka, to bądź ludzki wobec osoby, która wkrótce umrze! Myślisz, że łatwo mi było chwycić za telefon i do ciebie zadzwonić? Mój jedyny syn nie rozmawia ze mną od ponad dwudziestu lat! Obwinia mnie o przeszłość, której sobie nie wybrałam!”. Po ostatnim zdaniu nastąpiły sekundy ciszy, które wydawały się wiecznością. Ojciec westchnął i po raz kolejny odparł bez żadnej oznaki wzburzenia: „Gretl, moja odpowiedź brzmi: nie, nie spotkam się z nią, nie będę z tobą dyskutować, dla mnie rodzina to moja żona i dzieci”.

Zanim się rozłączył, Gretl zdobyła się na ostatnią próbę: „Rób, co uważasz za słuszne. Zawsze taki byłeś. Słuchasz tylko samego siebie. Tak czy inaczej, zanotuj sobie jej numer. Frida nadal mieszka w Berlinie. Zanotuj ten numer... Powiem twojej babci dokładnie to, co mi kazałeś. Ale zostawię ci do niej kontakt, kto wie, może zmienisz zdanie”. I zaczęła dyktować cyfry. Powtórzyła je bardzo wolno, żeby upewnić się, że ojciec je zapisał. Odruchowo wzięłam z szuflady długopis i nabazgrałam numer na grzbiecie dłoni.

Pożegnali się oziębłe, bez obiecywania, że zadzwonią, bez pozdrowień dla reszty rodziny. Poczekalam, aż odłoży słuchawkę, i rozłączyłam się natychmiast.

W pierwszej chwili chciałam wtargnąć do ojca i zasypać go pytaniami: „Kim ty w końcu jesteś? Dlaczego unikasz niemieckiej przeszłości? Dlaczego nigdy nie wspomniałeś nam o Fridzie? Kim są Ingeborg i Friedrich?”. Ale nie zrobiłam tego. Wzięłam torebkę i wyszłam po cichu.

Teraz, nieco ponad miesiąc od tamtego popołudnia, jestem w Berlinie. Za parę minut spotkam się z Fridą. Ojciec nie dowiedział się, że byłam wtedy w domu. Ani tym bardziej że zadzwoniłam do jego babci i że umówiłam się z nią na spotkanie. Idę szybkim krokiem w kierunku Hotelu Kempinski. Im bardziej się do niego zbliżam, tym silniejszy odczuwam strach. Idę na spotkanie z przeszłością. A przeszłości nie da się zmienić.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



@wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



HISTORIA, KTÓRA MIAŁA ZOSTAĆ ZAPOMNIANA

Październik 1944 roku. W Auschwitz na świat przychodzi Haya. Niedługo potem młody niemiecki oficer komponuje dla niej sonatę.

Kilka dekad później Amália, Portugalka o niemieckich korzeniach, po raz pierwszy w życiu spotyka w Berlinie swoją niemal stuletnią prababkę i odkrywa nazistowską przeszłość rodziny. Dowiedziawszy się, że jej dziadek, dawno uznany za zmarłego, być może żyje na drugim końcu świata, młoda kobieta wyrusza w podróż, by wyjaśnić rodzinne tajemnice.

W Rio de Janeiro poznaje parę ocalałych z Holocaustu Żydów, którzy przybliżają jej dramatyczne wydarzenia z przeszłości. Amália będzie musiała połączyć wszystkie elementy układanki, żeby dojść do prawdy.



Nr 21000290

ISBN 978-83-8074-865-1



9 788380 748651



bukowylas.pl

Cena: 29,99 zł